

Anna Bona

Cztery Pory Roku dla dzieci

(Wybrane fragmenty)



WOJEWÓDZTWO POMORSKIE

Zrealizowano przy pomocy finansowej Województwa Pomorskiego

Rozdział I

PIĄTEK

Lubię piątki. W szczególności za leniwe wieczory. Takie, kiedy nic nie muszę. Na przykład w piątki nie muszę panikować przed kolejnym dniem w szkole, tylko leżę w łóżku i czytam. Mama tradycyjnie wróci o nieokreślonej porze, a tata za ścianą toczy morskie lub lądowe batalie z nieznanym przeciwnikiem. W piątki wieczorem wołam do siebie Bestię. Bez Bestii nie ma czytania, co oznacza też automatycznie brak piątku w kalendarzu. Bestia doskonale wie, że to podstęp, ale i tak przychodzi. Za mruczenie i przytulanie dostaje smakołyki. Zawsze mam przygotowane dwie poduszki. Jedna jest dla mnie, a druga dla mojej łaciatej krówki. Tak właśnie nazywam mojego biało-czarnego kota Leona, w chwilach, gdy nie jest Bestią. Bestia ma duże poczucie niezależności, ale za sprawą smakołyków zamienia się w łagodną, potulną krówkę. Dowody tej magicznej przemiany roznosi w formie okruszków po całym pokoju, o co zawsze awanturuje się tata. Mnie to wcale nie przeszkadza. Niech roznosi! I tak wielkie sprzątanie wypada w sobotę, więc zacieranie śladów nie ma sensu. Dopóki z salonu słychać serie z karabinów maszynowych, może kruszyć do woli.

– Zosiu, gaś już światło! – woła z pokoju tata. Tę pierwszą prośbę zawsze ignoruję.

W dosłownym tłumaczeniu prośba ta oznacza, że w grze robi się coraz ciekawiej, a tata chce mieć wolny wieczór. Czyli ja mam spać, a on będzie sobie w najlepsze dalej grał. Nie ma takiej opcji. Ja też mam ochotę na wolny wieczór, szczególnie w piątek! Bez chodzenia wcześniej spać, bez gaszenia światła, z książką, z muzyką i z kotem.

Łaciaty stwór skończył jeść i z właściwą sobie elegancją zajął wyznaczone miejsce na poduszce. Zanim zwinął się w kłębek, odprawił magiczny rytuał polegający na tańcu na łapkach, połączony z trzykrotnym obrotem wokół własnego ogona.

– Przecież prosiłem o zgaszenie światła. Pora spać! – Niestety tata stał już w progu pokoju. Żarty się skończyły.

Wraz z Tatą do pokoju wpadł szary tygrys. Z prędkością torpedy pokonał dystans od drzwi do kanapy i jedyne, co zdążyłam zauważyć zanim zakryłam twarz książką, to lecące w moim kierunku rozpostarte łapy. Brakowało tylko kasku i peleryny superbohatera, co nie przeszkodziło w miękkim lądowaniu z poczuciem spełnionej misji i ogonem dumnie wzniesionym ku górze.

– Tato, znowu wpuściłeś Fela do pokoju! – W moim głosie wyraźnie czuć było pretensję. Konsekwencje otwierania drzwi były zawsze takie same. Przynajmniej dla łaciatego kota Leona, który zazwyczaj się obrażał i zniesmaczony niezapowiedzianym towarzystwem, ostentacyjnie opuszczał poduszkę.

Tata stał w drzwiach. Jego twarz wyrażała coś na kształt zaskoczenia i irytacji. Nie spodziewał się, że odpowiedzialność za kocie wybryki spadnie na jego barki.

– Wiesz, że to nie moja wina. – Tata czuł, że musi się bronić. – Skoro zamykasz się z Leonem i nie wpuszczasz Feliksa, to nie możesz mieć do mnie pretensji.

– Ale on tak słodko leżał! – Moje rozgoryczenie dalej nie robiło wrażenia na tacie. – Wiesz, iloma chrupkami musiałam go przekupić, żeby się przytulił?

Feliks tymczasem lewym uchem nasłuchiwał, co się dzieje, a prawe raz po raz wycierał wylizaną łapką. Lizał, wycierał, znowu lizał i znowu wycierał, i tak w kółko. Skoro człowiek otworzył drzwi, to kot, jak to kot, miał pełne prawo skorzystać z okazji. Jak się tylko skończy myć, to będzie się przytulać do Zosi. Niech ta Zosia już więcej nie marudzi.

– Nic nie poradzę, moja panno. – W głosie taty pojawiła się wreszcie nutka zrozumienia. – A teraz gasisz światło i grzecznie kładziesz się spać.

– Jeszcze minutkę, proszę! Daj mi chociaż dokończyć rozdział... – Błagalnym głosem i miną skrzywdzonego aniołka próbowałam poruszyć tatusiowe sumienie. Wiedziałam, że za cenę świętego spokoju i szybkiego powrotu do wirtualnego świata mogę kupić sobie dodatkowe wieczorne minuty w promocyjnej taryfie.

– Minutka! I ani sekundy dłużej! – powiedział tata i zamknął za sobą drzwi.

To był sprawdzony sposób na przedłużanie piątku. Minuty zamieniały się w kolejne kwadransy aż do powrotu mamy. Nigdy nie było wiadomo, o której godzinie wróci, a jakimś dziwnym trafem koty zawsze wyczuwały, że mama stoi już za drzwiami. Uszy Leona zamieniały się w radary, a Felo zrywał się z kanapy i po chwili obaj czekali pod drzwiami. W tym jednym przypadku role się zamieniały. Feliks grzecznie wpatrywał się w drzwi, a Leon niecierpliwie przebierał nogami przed startem. Zgrzyt w zamku, klamka w dole, pięciocentymetrowy prześwit, sprytnie wyminięcie damskiej nogi w czarnych szpilkach i już był na klatce schodowej! Właścicielka szpilek nie zdążyła powstrzymać kociego pędu, za to zdążyła się potknąć na progu, co spowodowało niemałe zamieszanie w połączeniu z hukiem spadających bezładnie toreb.

– Czy ktoś mógłby mi pomóc? – zapytała retorycznie mama, próbując jednocześnie złapać niesforne kota i pozbierać rzeczy.

– Leon, wracaj tutaj! – krzyknęła, lecz w tym samym momencie zorientowała się, że w porze nocnej nie wypada krzyczeć na klatce schodowej, nawet jeśli krzyczy się do uciekającego kota!

– Mężu, jesteś mi potrzebny! – jęknęła mama.

– Kochanie, strzelają do mnie! – usłyszała w odpowiedzi. Głos z salonu rozwiął wszelkie nadzieje na pomoc.

– No tak, radź sobie sama... – westchnęła.

Policzyła w myślach do dziesięciu, żeby zapanować nad sobą. Leon tymczasem dotarł do drzwi sąsiadów i z zaangażowaniem drapał wycieraczkę. Całkowicie pochłonięty ostrzeniem pazurków, nie zauważył zbliżającej się właścicielki i dał się złapać z zaskoczenia.

– Przestań się wyrywać, kocie! – powiedziała mama, przytulając szamoczącą się kulkę futra.

Kot jednak nie zamierzał łatwo oddać wolności. Szarpał się jak oszalały.

– Koniec wycieczek na dzisiaj, idziemy do domu – wyraźnie poirytowana mama przycisnęła mocniej zwierzaka i wróciła do mieszkania. Uwolniony kot natychmiast pobiegł do miski.

– Mamciu, jesteś? – zawołałam cichutko.

Doskonale słyszałam, co się dzieje, ale nie miałam śmiałości wyjść. O tej porze mogłoby się to skończyć awanturą, więc bezpieczniej było zapytać przez drzwi.

– Jestem, kochanie – odpowiedziała z przedpokoju mama.

– Możesz mnie przytulić na dobranoc? – zapytałam.

– Oczywiście, skarbie. Tylko zdejmę buty i już do ciebie idę.

Po poprzedniej interwencji taty w pokoju panowały egipskie ciemności. Aby wejść do środka bez zapalania światła, trzeba było nie lada odwagi. Na podłodze leżały porzrzucone klocki Lego. Jeden krok w ciemności dostarczył nieświadomej mamie odpowiednich doświadczeń empirycznych.

– Ała! – krzyknęła z bólu mama i natychmiast cofnęła się, żeby włączyć światło. Pstryk i wszystko stało się jasne. Porzrzucone klocki odzyskały swoje kształty i barwy.

– Zawsze się na to nabieram... – westchnęła, masując obolałą stopę. Jej wzrok zatrzymał się na misternej konstrukcji Sokoła Millenium.

– Na co się nabierasz? – zapytałam niewinnie.

– Na to, że masz porządek w pokoju – odpowiedziała mama, tuląc mnie czule.

To, co dla jednych oznaczało bałagan, dla mnie i dla mamy było kontrolowanym chaosem i dowodem na udaną zabawę. Miałyśmy zbieżne poglądy na temat porządku, ku radości kotów i niezadowoleniu taty.

– Pasuje ci ta szminka. Powinnaś się tak malować codziennie. – Z zachwytem patrzyłam na pomalowane usta mamy.

Mama delikatnie uśmiechnęła się, ale nic nie powiedziała. Praca w orkiestrze w filharmonii miała swoje blaski i cienie. Muzycy prezentowali się jak modele z okładek magazynów mody. Eleganckie czarne sukienki, fraki, lakierki, wysokie szpilki, makijaże, fryzury i czerwone usta zdarzały się najczęściej w piątki, czyli w dni koncertów. Na te kilka godzin muzyk zamieniał się w Kopciuszka na balu u Księcia, po czym czar pryskał zaraz po północy. Znowu dynia zamiast karety i szczury zamiast lokajów. I tak do kolejnego piątkowego koncertu. Tak to sobie przynajmniej wtedy tłumaczyłam.

– Dostałam dzisiaj szóstkę z kartkówki z angielskiego. – Dziecięcy głosik przerwał ciszę.

– Bardzo dobrze! – pochwaliła mama. – Szkoda, że się cały dzień nie widziałyśmy – westchnęła.

– Mam prośbę. Przechowasz dla mnie jedną rzecz do jutra?

– Mogę. Jak się zmieści w szafie, to czemu nie.

– Zmieści się, bez problemu – zapewniła mama. Po czym przyniosła z przedpokoju szary worek z wystającym żelaznym drutem.

– Co to? – zapytałam, ziewając.

– Jutro ci pokażę – odpowiedziała mama i schowała dziwaczną rzecz do szafy – A teraz już zamykaj oczka i niech ci się przysnią dzikie łaciate bestie i pędzące szare tygrysy – powiedziała, zostawiając czerwony ślad ust na moim nosie.

– Dobranoc! – Byłam już zbyt zmęczona, żeby zmyć szminkę.

Rozdział II

SOBOTA

Od samego rana słychać szumy dobiegające z salonu. Głównym podejrzanym jest inteligentny odkurzacz. Jeździ i zmiata bezwzględnie wszystko, co pojawi się na trasie. Zachłannie zasysa brudy, koraliki, zakrętki od mazaków, kable od ładowarek i próbuje przedostać się na drugą stronę lustra. Niestety nie jest Alicją i mimo całej swojej inteligencji, nigdy nie będzie. Lustro jest więc całkowicie bezpieczne. Ja też, dopóki nie wyjdę z pokoju. Za moimi drzwiami wszystko buczy i brzęczy. I tak już nie śpię, tylko wsłuchuję się w hałasy dnia. Trzeba wstać, wyciągnąć ubranko z szafy i niezauważalnie przemknąć do łazienki. Szafa stawiała opór, ale po trzech nieudanych próbach w końcu się poddała i łaskawie otworzyła swoje wrota. Ze środka wysypała się lawina ciuchów, tak na oko kilkanaście koszulek i z pięć par spodni. Jeśli jednak myślicie, że to było wszystko, to jesteście w błędzie. To był dopiero początek! Szafa skrywała jeszcze kota i wczorajszy worek mamy. Kot najwyraźniej był tam na gapę, a o worku zupełnie zapomniałam. Worek był ciemnoszary, duży, mniej więcej wysokości mojej przyjaciółki Dominiki, nie licząc wystającego druta. Dominika jest ode mnie niższa o głowę, mimo, że obie mamy po dziesięć lat. Mieszka z rodzicami i starszą siostrą Anią na parterze w moim bloku. Tak że worek w sam raz przypominał moją przyjaciółkę Dominikę, przynajmniej rozmiarami. Nie miałam odwagi zajrzeć do środka sama. Wyjrzałam z pokoju, szukając wsparcia. W zasięgu mojego wzroku był tylko tata, zafascynowany ścieraniem kurzu do tego stopnia, że nawet mnie nie zauważył.

– Widziałeś gdzieś mamę? – spytałam „na dzień dobry”.

– Ostatnio ją widziałem w łazience – odpowiedział tata, machając szmatką zawzięcie.

Podreptałam więc do łazienki, która jak się okazało, zajęta była przez korzystającego właśnie z kuwety Felka. No tak, wszyscy rano muszą się wysuszać – i kot też! Tylko gdzie była mama?

Wróciłam do taty z pretensjami, że udzielił mi niewłaściwej informacji.

– Pewnie jest w pracy – skwitował tata i zajął się podziwianiem wypolerowanych do czysta szafek.

Nie do wiary. Nawet nie zauważył, że wyszła! Wróciłam do pokoju, zanim zdążył mi zaproponować udział w Wielkim Sprzątaniu. Z tym workiem poczekam, aż mama wróci. W końcu to jej worek, nie mój. Ze sterty ubrań, które wypadły z szafy, wybrałam to, co się

nadawało do ubrania, a resztę... zostawiłam. Nie mam teraz czasu na bzdury. Zaczęłam grzebać w papierach, które leżały na moim biurku. Moje biurko już od jakiegoś czasu przypominało bardziej kosz na śmieci, niż miejsce do odrabiania lekcji. To dlatego, bo do poniedziałku muszę skomponować piosenkę do projektu, który wymyśliła nasza pani od muzyki! Projekt zakłada, że każde dziecko z klasy wymyśli jedną zwrotkę piosenki o wiosnie, a refren ustalimy na lekcji wspólnie. Premierę przewidziano na kalendarzowy początek wiosny, czyli już w najbliższy piątek! W głowie pustka, na biurku bajzel, a na bajzlu kot. Na kocie ustawiłam kolorowe dzwoneczki i ku mruczącej radości zwierzaka zaczęłam delikatnie uderzać pałeczkami w kolorowe blaszki. Łaciaty był wniebowzięty! Jednak jak się domyślicie, nie była to aura sprzyjająca wytężonej pracy umysłowej. Obgryzłam doszczętnie końcówkę ołówka, lecz nie zapisałam ani jednej nuty. W akcie desperacji spojrzałam na półkę z płytami. *Cztery Pory Roku* Antonia Vivaldiego wydały mi się odpowiednią pomocą naukową. Skoro mi samej brakuje talentu, to trzeba szukać pomocy u mistrzów. Sprawdziłam, czy na liście jest *Wiosna* i puściłam nagranie z płyty. Gdy tylko melodia popłynęła z głośnika, poczułam przyływ twórczej energii! W głowie układały mi się nutki i pasujące do nich słowa. Wystarczyło spisać pomysły na pięciolinii. *Mi si la sol la si do si...* – „To właśnie nadchodzi wiosna”, *Mi si la sol la si do si...* – „Nadchodzi od tak po prostu” ... i w tym miejscu się zacięłam. Dwie minuty zajęło mi wymyślenie genialnego początku piosenki, a potem przez kolejne piętnaście nie mogłam nic sensownego dopisać. Potrzebowałam dobrego zakończenia. W akcie desperacji pocięłam nuty nożyczkami z nadzieją, że poukładam je jak puzzle i wszystkie dźwięki będą do siebie pasowały. Leon dzielnie mi w tym pomagał, rozrzucając kartki na różne strony i zrzucając je w końcu z biurka na podłogę. Zabawa była przednia. W tym momencie tata oznajmił, że pora na śniadanie. Kot, jak gdyby nigdy nic, przerwał pasjonujące zajęcie. Z wdziękiem zeskoczył z biurka i elegancko przemaszerował defiladowym krokiem w stronę kuchni. Nie pozostało mi nic innego, jak porzucić tymczasowo warsztat kompozytorski i pójść w ślady kota. Mama zawsze powtarza, że jak człowiek głodny, to nie myśli. Może coś w tym jest.

Po jajecznicy ze szczypiorkiem i obowiązkową kanapką z żółtym serem byłam gotowa do dalszej pracy.

– Chodź, Kiziu, wracamy do pokoju pisać dalej – zawołałam do łaciatego, który polował na resztki z mojego talerza.

– Co piszecie? – zapytał zciekawiony tata. Widocznie na niego także śniadanie podziałało pozytywnie, bo wreszcie zaczął się interesować zewnętrznym otoczeniem i tym, co się właściwie wokół niego dzieje!

– *Mi si la sol la si do si* – odpowiedziałam, recytując.

– *Mi ma mi le sos...* – Tata próbował porozumieć się w moim języku, co najmniej jakbym była przybyszem z innej planety.

– Oj, nutki piszemy z Leosiem. Sylabizuję ci solmizację.

– Nic z tego nie rozumiem. – Rzeczywiście po minie taty można było się zorientować, że nie ma zielonego pojęcia, czym jest solmizacja. A przecież każdy wie, że solmizacja to taki rodzaj alfabetu, tylko służący do nazywania nut!

– Jak skończę, to przyjdę i zaśpiewam ci piosenkę o wiosnie. Może być? – Zaproponowałam kompromisowe rozwiązanie.

– Dobrze – zgodził się tata. Po pierwsze, nie chciało mu się wnikać, co znaczy ów nieznanym wyraz, a po drugie, miał już inne sprawy na głowie, którymi chciał się zająć jak najszybciej.

– To pa! – Zamknęłam drzwi od pokoju i znowu miałam swoje królestwo tylko dla siebie. Nagle jednak zauważyłam, że podczas mojej nieobecności w pokoju zaszły pewne niepokojące zmiany. Przetarłam oczy ze zdziwienia. Co tu się dzieje? Moje biurko posprzątane?! Ja na pewno tego nie zrobiłam. Nawet przypadkiem nie umiałabym stworzyć tak idealnego porządku! Nie zrobił tego także tata, a już na pewno nie Bestia. Więc, kto to mógł być? Detektyw Zosia na pewno poradzi sobie z tą zagadką. Taki widok nieczęsto się zdarza, więc postanowiłam zrobić zdjęcie na pamiątkę. Poszukiwania czas start. Na biurku leżały poukładane nutki, atrament, ptasie pióro i aksamitna czarna wstążka. Z nut układała się piękna melodia podpisana inicjałami A.V. O prośbę, czyli jednak mi się nie przywidziało. Jakiś A.V. odrobił za mnie pracę domową i posprzątał bałagan. Ale przecież nie mógł wejść kominem, bo wtedy literki byłyby takie: Św.M. Poza tym nie ma w moim domu komina! Jedynie kaloryfery. Na dodatek zbliżała się wiosna, więc wszystko to przeczyło obecności Świętego Mikołaja. Kim w takim razie był A.V.? To należało bezwzględnie wyjaśnić. Zaczęłam sobie nucić melodię, którą pozostawił. Podobała mi się, ale nie pasowała do słów, które wymyśliłam. Trzeba będzie trochę poprzestawiać nutki. Wciągnęłam się w muzykę tak bardzo, że zapomniałam o śledztwie.

– *To właśnie nadchodzi wiosna, nadchodzi ot tak, po prostu. To wiosna, ach wiosna nadchodzi dziś...* – Refren był już kompletny, a zwrotkę zaczęłam tak:

– *Si sol sol sol fa sol sol la...* – „Wróciła wędrownym ptakiem”...

Wtem nagle mi się zdało, że ktoś powiedział: „Nie”. Rozejrzałam się dookoła, ale nikogo oprócz mnie i Leona nie było w pokoju. Ja śpiewałam, a Leon nie umie mówić „nie”. Pięknie, oprócz przywidzeń zaczęłam mieć omamy słuchowe!

– *La fa fa fa mi fa sol...* – „Rodzącym się właśnie kwiatem”...

– Nie, nie, nie! Nie zgadzam się! – Tym razem głos był wyraźny i na pewno nie było to przesłyszenie!

– Kto tam? – zapytałam, zdziwiona własną odwagą. Nie bałam się ani trochę, za to zżerała mnie ciekawość.

– Najpierw mnie wypuść! – odparł tajemniczy gość.

– Jak to wypuść? Przecież cię nie trzymam – odparowałam bez namysłu.

– Przecież zamknęłaś mnie tutaj! – krzyknął wyraźnie zirytowany głos.

Z duszą na ramieniu podeszłam do szafy, bo wydawało mi się, że właśnie stamtąd wzięto się to całe dziwne gadanie. Pozornie wszystko wyglądało normalnie. W środku były moje ciuchy, worek mamy i tyle. Już miałam zamknąć drzwi, a całą sytuację zwalić na karby niewyspania i wybujałej wyobraźni, gdy głos ponownie się odezwał:

– Na litość boską, otwórz worek i mnie wreszcie uwolnij!

W duchu policzyłam do dziesięciu, żeby uspokoić nerwy i zajrzałam do środka. Pierwsze, co zobaczyłam, to ogromne, błyszczące szaroniebieskie oczy, białą czuprynę i lekko zadarty nosek. Zanim zdążyłam krzyknąć z wrażenia, mały człowieczek zwinnie wyskoczył z worka, otrzepał czerwony kubraczek i zaczął układać potargane włosy. W końcu je upiął w nienaganny kucyk z tyłu głowy, spojrzał na moją rozdziawioną buzię i krzywo się uśmiechnął.

– Dziękuję, że mnie wyciągnęłaś z tej ciemnej nory – powiedział.

– To nie nora, tylko moja szafa na ubrania – parsknęłam, ale bynajmniej nie śmiechem. Mój gość od samego początku wydał mi się podejrzany i nie wzbudzał ani krzty sympatii. – Może mi wyjaśnisz, skąd tam się wziąłeś? – zapytałam.

– Może najpierw się przedstawię. Nazywam się Antonio Lucio Vivaldi i pochodzę z Wenecji.

Nie wiem, co bardziej mnie zdziwiło: to, że znalazłam w szafie słynnego kompozytora, czy to, że okazał się drewnianą lalką. Oczywiście sytuacja była niecodzienna, więc tym bardziej wypadało zachować się odpowiednio. W czasie, gdy ja na poważnie przymierzałam się do przedstawienia własnej osoby, tak, aby nie narobić sobie wstydu, Leon z zainteresowaniem obwąchiwał przybysza.

– Natychmiast zabierz ode mnie to włochate monstrum! Zniszczy mi kubraczek! – krzyczał Vivaldi.

Podstępem odciągnęłam kota. Gdy tylko łapy Leosia znalazły się po drugiej stronie drzwi, zamknęłam je szybko i powiedziałam:

– Ja jestem Zosia i nie mam pojęcia, co tak słynny kompozytor jak pan robi w mojej szafie, ale skoro kot już panu nie przeszkadza, to proszę mi to wyjaśnić – wyrecytowałam jednym tchem.

– To będzie długa historia – odpowiedział.

Zaproponowałam, żebyśmy usiedli, aby nie rozboleły nas nogi. Nie wiadomo, co Mistrz ma na myśli, mówiąc „długa historia”, więc na wszelki wypadek wolałam się zabezpieczyć.

– Grałem na skrzypcach... – Vivaldi zaczął swoją opowieść. – Dzień jak co dzień. Wtem usłyszałem dziwne bzyczenie. Szukałem muchy. Okazało się jednak, że to nie mucha, ale dziwne urządzenie z błyskającą szybką, przypominające klamkę do drzwi. Leżało sobie w kącie pokoju i bzyczało. W tak natrętnym hałasie nie byłem w stanie się skupić. Musiałem natychmiast to uciszyć. Gdy tylko dotknąłem tej wibrującej klamki, odezwał się głos:

– Halo? Czy dodzwoniłem się do osiemnastego wieku?

– Dodzwonił się pan do mnie. Maestro Antonio Vivaldi, słucham!

– Mistrzu! Potrzebujemy twojej pomocy.

– Mojej? A w czym miałbym pomóc?

– Powiem wprost: mamy bałagan w porach roku i zastanawiamy się, jak przywrócić ład w przyrodzie. Maestro jest ponoć najlepszym ekspertem od zmian klimatu.

– No ja się na tym nie znam... Napisałem, co prawda, takie dzieło, ale czy dam radę? Sam nie wiem.

– Organizujemy koncert o *Czterech Porach Roku* dla najmłodszych melomanów w Filharmonii Bałtyckiej imienia Fryderyka Chopina...

– Nie znam Chopina...

– Nie szkodzi, wszystko opowiemy, jeśli tylko Mistrz zjawi się w Gdańsku. Czy jest to możliwe?

– Hm...

– Halo!...

– Jeśli zapewnicie mi odpowiednie warunki... Mogę przyjąć zaproszenie... Dobry Boże! Z czym ja rozmawiam? Z jakimś śmiesznym urządzeniem z małą jasną szybką...

– To telefon. A rozmawia Pan z Gdańskiem w XXI wieku... Zapraszam serdecznie!

– Mamma mia... Jadę do Gdańska!

– Cudownie!... A zatem czekam na pana, Mistrzu! To mówiłem ja, Dyrektor Filharmonii...

– W takim razie, do zobaczenia!

– Rozumiesz, Zofio, że dostałem bardzo atrakcyjną propozycję, przekazaną w bardzo dziwnych okolicznościach. Po tej rozmowie jednak długo nie mogłem dojść do siebie. Kręciłem się w kółko bez szczególnego celu. Zupełnie nie wiedziałem, jak się spakować, ani co mi się przyda w tym obcym mieście. Ba! Nie byłem nawet pewien, czy jadę do Polski czy do Szwecji. Od tego wszystkiego rozbolała mnie głowa. Zdrzemnąłem się na chwilę i proszę, budzę się w worku, zamknięty w ciemnej szafie! Rozumiesz coś z tego?

Popatrzyłam na lalkę obok mnie na kanapie. Antonio siedział zgarbiony. Jego wielkie oczy pełne były smutku. Aksamitna wstążka zsunęła się z włosów i znów niesforne kosmyki wystrzeliły na wszystkie strony.

– Chyba mam pomysł, jak ci pomóc – powiedziałam z uśmiechem, bez pytania znowu przechodząc na „ty”. – W filharmonii pracuje moja mama.

– Naprawdę? To wspaniałe wieści! – Ucieszył się Antonio. – Zabieramy mamę i idziemy prosto do Dyrektora. Niech wyjaśnia.

Vivaldi nie grzeszył cierpliwością. Już stał pod drzwiami, gotowy do wyjścia i przebierał nogami w miejscu, jakby miał za chwilę wystartować w maratonie dla biegaczy.

– Ale jak to? Teraz chcesz iść?

– Oczywiście, nie ma na co czekać.

– To niemożliwe – odpowiedziałam, studząc jego zapał.

– Dlaczego?

– Bo mama jest teraz w pracy – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. – Dopóki nie wróci, to nie dowiemy się, kto i dlaczego cię porwał.

– I zamknął w worku! – dodał Antonio.

– Tak, musimy poczekać – oznajmiłam i odetchnęłam z ulgą, że udało mi się utrzymać jego pobyt w tajemnicy przed tatą.

– Nie lubię czekać bezczynnie. Zróbmy coś pożytecznego – zaproponował Mistrz.

– Jeśli chcesz, to możesz mi pomóc w odrabianiu lekcji.

– Już ci pomogłem – odpowiedział Mistrz. – Poprawiłem błędy w melodii – mówiąc to, z dumą wskazał na starannie podpisane nutki leżące na moim biurku.

– Jakie błędy? Tam wszystko było tak, jak sobie wymyśliłam! Nie możesz tak po prostu brać mojego pomysłu i dowolnie przerabiać po swojemu.

– O, właśnie! A tobie kto pozwolił przerabiać mój pomysł? – Vivaldi zapytał zaczepnie.

Awantura wisiła w powietrzu! Wystarczyłaby chwila nieuwagi, aby sprzeczka przerodziła się w kłótnię. Antonio trząśł się z oburzenia, ja sama zaś nie bardzo wiedziałam, o co chodzi, jednak czułam, jak atmosfera gęstnieje.

– Słuchaj, ustalmy jedno. To biurko należy do mnie, tak jak wszystko, co na nim leży. Po prostu przestań przerabiać moje rzeczy i wszystko będzie w porządku.

– Ależ to nie jest przeróbka, tylko oryginał. Wypraszam sobie! – oburzyła się kukielka.

– Dobrze, niech ci będzie, skoro się tak upierasz, proponuję rozejm – westchnęłam.

– Jakie proponujesz warunki, moja panno? – zapytał zaciekawiony Antonio.

Nie zdążyłam odpowiedzieć, bo w tym momencie za oknem zaczęły się dziać bardzo dziwne rzeczy, które skutecznie odwróciły moją uwagę.

– Spójrz tylko na to! – Palcem wskazałam w kierunku szyby.

– Nic nie widzę. Nie sięgam, niestety. Podsadzisz mnie? – poprosił Antonio.

– No to dalej, hop do góry – powiedziałam i posadziłam kukielkę na parapecie. Antonio był niskiego wzrostu. Ledwie sięgał mi do pasa.

– I co ty na to? – zapytałam.

– Ale jaja!

– Raczej jedno, ale za to konkretne – skwitowałam.

– Koniec kłótni. Musimy współpracować dla dobra ludzkości. – Tym razem głos Antonia przybrał poważny ton.

– Zgadza się. – Dla potwierdzenia tych słów skinęłam głową i pierwsza wyciągnęłam do niego rękę. – Czyli zgoda? – zapytałam.

– Zgoda.